

F. T.

Serce matki

Tłóm. z niemieckiego.

4 — Beznadziejny, zupełnie beznadziejny — powtórzyła Irena, patrząc przed siebie. — Czy pan nie sądzi, doktorze, że matki potrafią kochać i takie dzieci? — zapytała po chwili, podnosząc głos.

— Jest to ostatecznie rzecz stwierdzona i dlatego dziwić mnie nie może — odpowiedział. — Zwykle nawet kochają te nieszczęśliwe istoty silniej aniżeli zupełnie zdrowe. Czasem nawet przywiązują się do nich z zapalczywą jakąś namietnością, właśnie może dlatego, że inni ludzie na ich widok mają tylko życzenie, aby je Pan Bóg jak najprędzej zabrał. Sam znałem...

Wejście jednego z Anglików przerwało rozmowę. Dr. Burger zagłębił się w książkę, Irena zaś odeszła do swej kajuty, tłumacząc się silnym bólem głowy. Na drugi dzień na pokładzie, spotkawszy Roberta, rozmawiała z nim dłuższy czas, nie wspominając ani słowem o wczorajszej ich rozmowie. Także lekarz uważał za właściwe nie pytać, czy już wybiła sobie całą rzecz z głowy. Przypuszczał, że była to fantazja chwilowa, nie więcej. Pod wieczór już zbliżono się do Liverpoolu. Lekarz był bardzo ciekawy, czy panna Firna u znówu okaże silne zderowanie, jak to dotychczas bywało. W rzeczy samej, nie tylko Irena była bardzo zderowana, ale stan jej zdawał się o wiele jeszcze gorszy, niż przy poprzednich wypadkach.

Także doktor nie mógł opanować pewnego żalu i niepokoju. Silny wewnętrzny impuls popychał go ku tej pięknej nieznajomej, sam nie wiedział, dlaczego? A tajemnica, jaka ją otaczała, podnosiła tylko urok jej postaci, mimo, iż otaczała jej osobę jakimś blaskiem romantyczności, przeciwko któremu powinna się była jego na wskroś prawa, szczerza, tak po obywatelsku solidna natura oburzyć. Lecz tam, gdzie jest sympatia, tam jest i wytłumaczenie. Wierzył mocno w to, iż Irena Firna nie popełniła nic takiego, co by ubliżało jej charakterowi.

Ukrywała jednak jakąś tajemnicę, jakiego rodzaju, nigdy nie miał się o tem dowiedzieć! Musieli się rozłączyć, aby się już nigdy prawdopodobnie nie zobaczyć. Dla niej rozłąka ta nie miała żadnego znaczenia. On był dla niej tylko miłym towarzyszem podróży, więcej nie!

Serce jego rozpierał dziwny smutek. W cichej zadumie starał się w myśli utrwalić piękny obraz nieznajomej.

Zapytał sam siebie, skąd się to wzięło. On, zawsze poważny, daleki od młodzieńczych głupstw, jak sam się wyrażał, marzył. Nagle uczuł, że ktoś lekko dotyka się jego ręki. Obejrzał się szybko, przed nim stała ta, o której właśnie myślał. Zarumieniona szepnęła z prośbą w spojrzeniu:

— Czy mogę prosić pana o krótką chwilę rozmowy w cztery oczy?

— Ma się rozumieć — wyrwało mu się mimo woli. — Nie tylko na chwilę!...

Zamilkł, łapiąc się na komplement, który już miał na języku.

— Dokąd mam się udać? — poprawił się.

— Chodźmy do czytelnii. Wszyscy są teraz zajęci pakowaniem. Czy pan już spakował swoje rzeczy?

— W zupełności. Pani zapewne także, panno Firna? Za pół godziny staniemy u celu.

— Jestem już przygotowana, panie doktorze.

Pospieszył za nią do czytelnii, gdzie ku swemu wielkiemu zdziwieniu zastał panią Haynau z chłopcem.

— Niech pani zostawi tu dziecko. Proszę iść na pokład i uważać pilnie, proszę panią bardzo — rozkazała młoda kobieta, poczem pani Haynau posadziła dziecko na kanapce, a sama wyszła z pokoju.

— A teraz — zwróciła się Irena do lekarza — bez długich wstępów, panie doktorze. Pani Haynau powierzyła mi pewien sekret, o którym i pan ma się dowiedzieć. Chciałabym chętnie pomódz biednej kobiecie, a pan ma w tem uczestniczyć, inaczej sama nie dam sobie rady.

Mówiąc jeszcze jaśniej, mam prośbę do pana. Czy pan ją spełni?

— Zadośćuczynienie prośbie pani będzie dla mnie zaszczytem, to znaczy, o ile to leży w mojej mocy.

— Owszem, jest w pana mocy. Słuchaj pan — Irena mówiła po cichu i szybko, proszącym głosem, który go wzruszył i mimowoli ujmował — biedna kobieta kocha to nieszczęśliwe dziecko z całego serca!

Chcą go jej odebrać, aby je oddać do publicznego zakładu, ponieważ ona wyjeżdża za granicę. Ona pragnie je zatrzymać, a obawia się, że przy wysiadaniu na ląd odbiorą jej dziecko. Prosiła mnie więc, abym zatrzymała chłopca przy sobie w chwili lądowania i wysiadła razem z nim na ląd. Pomysł jest dobry, ale jeszcze pewniej by się udał, gdyby mężczyzna nim się zaopiekował. U mężczyzny nie będą szukali dziecka, a tem bardziej u takiego, jak pan, panie doktorze.

— A więc ja mam być tym, który dziecko...

— Szcześliwie przeprowadzi do Liverpoolu. Pani Haynau spotka się z panem w umówionym hotelu. Czy zechce pan tej biednej kobiecie wyświadczyć tę przysługę? Zarazem postąpi pan humanitarnie, gdyż ona lepiej zaopiekuje się dzieckiem, niż zakład państwowy, gdzie opieka ta jest raczej urzędową.

Doktor Burger zawałał się.

— Panno Firna, sprawa sprzeciwia się ustawie, a pani jej odemnie żąda!

— Moralne prawo nie zawsze zgadza się z ustawą pisaną, często nawet stoi ponad nią, gdyż ustawa jest wyrazicielem władzy, zaś prawo jest dążeniem do dobrego.

— To prawda — ale...

— Kto przyzwyczaił się tak, jak pan, patrzeć śmierci w oczy, ten przecież nie przestraszy się jakiejś małej kary.

Lekarz uśmiechnął się.

— Niech mnie pani źle nie rozumie. Właśnie dlatego, że podzielałam pani zapatrywanie na prawo i ustawę, nie chciałabym popełnić bezprawia. Nie wiem, co by tu było lepszym. Nie znam zupełnie sprawy...

— Czy nie wystarcza panu moje zapewnienie.

— Pani mogła być w błąd wprowadzona.

— Daję panu słowo honoru — przerwała i podniosła rękę do góry, jakby do przysięgi. — Zresztą co pan ryzykuje? Pan nic nie wie. Wsiądzie pan z dzieckiem na ląd i wsiądzie tam do tramwaju. Można założyć się dziesięć przeciw jednemu, że nikomu nie przyjdzie na myśl zapytać się pana o dziecko lub pana zatrzymać. Czy nie tak?

— A więc dobrze — postanowił. — Proszę dać mi adres hotelu.

Irena szybko zaczęła notować adres na bilecie wizytowym, gdy do pokoju wpadła błada i wystraszona opiekunka dziecka.

— Łaskawa pa... panienko — zawołała. Już idą.

— Kto idzie, Almo?

— Dwóch panów w uniformach — policja — płyną łodzią do statku.

— Za późno — wyszeptała zrozpaczona Irena i załamała ręce. — Wszystko stracone, wszystko stracone!

Lekarz przyglądał się wzruszony całej scenie.

— Na Boga, panno Firna, co to wszystko znaczy? Czem jest dla pani to dziecko — zapytał wreszcie.

Spojrzała na niego oczyma pełnymi łez, a bezbrzeżny smutek drgał w jej głosie.

— Czem ono dla mnie jest? — zawołała, tracąc panowanie nad sobą pod wpływem bólu i troski, zaledwie mogąc o tyle opanować drżenie głosu, aby wydobyć wyrazy. — To moje dziecko, panie doktorze — chcą mi je porwać, zrabować. Teraz wie pan całą straszną prawdę!

ROZDZIAŁ VI.

Robert odskoczył jak gdyby go kto pięścią między oczy uderzył. Serce jego wierzące, nic nie przeczuwające doznało nagłego olśnienia.

— Pani dziecko...

— Niech mnie pan źle nie rozumie — szepnęła cicho, przez łzy. — Jestem zameżna. Nazywam się Marga Wolfen, ta stara kobieta jest wierną moją służącą od lat dziecinnych, a prawdziwe jej nazwisko brzmi Alma Röhn.

— A więc i chłopak nie nazywa się...

— Walter Fredeking? Ach! musieliśmy ze względu na bezpieczeństwo zmienić imiona. Imię jego jest Rudolf.

Słowa wydobywała z trudem, jakby ból i wstyd zatrzymywały jej je w gardle. Każde musiało się po prostu samo wyrwać jakby z więzów. Pełen głębokiego współczucia patrzył na nią Burger. Mimo silnego wzburzenia odczuł jednak jakby zadowolenie. Tajemnica, jaka ją otaczała, rozwiała się zupełnie, znał ją teraz dokładnie! On przecież przeczuwał!

— I kto... kto ośmiela się odebrać pani dziecko? — zapytał.

— Kto? Któżby inny, jak nie zastępca mego męża?

— Pani męża?

— Mój mąż umarł już przed rokiem — odpowiedziała bezdźwięcznym głosem.

— Ale dziecko... przecież ono należy się pani według prawa...

Lekkie poruszenie głowy zaprzeczyło, zaprzeczyło też stroskane spojrzenie. Usta zaś dodały cicho:

— Dziecko przyznano opiekunowi.

— Niech pan jednak źle o mnie nie myśli, — dodała w tej chwili silniejszym głosem. — Nie zawsze winnym jest ten, kogo prawo winnym uzna. Niema teraz czasu na to, abym pana wtajemniczyła w całą sprawę. — Niech mi pan zaufa i dopomoże biednej matce!

Słowa bywają często podstępny, udanymi i fałszywymi towarzyszami, — tutaj jednak przemawiała szczerza prawda. Wszelkie wątpliwości znikły wobec czystości jej spojrzenia, wobec przekonującej szczerości jej głosu!

— Wierzę pani w zupełności — zawołał zdecydowany, — chcę pani pomódz z całych sił moich. Jak mam to jednak zrobić?

— Jak, jak? Nie możemy nic innego uczynić, jak zaprzeczyć tożsamości dziecka...

— Ostatecznie, jeszcze nie wiemy, czy wizyta policji dotyczy tej sprawy!

— To nie ulega wątpliwości, panie doktorze. Lepiej będzie, jeśli nas razem nie zobaczą, Almo. Odejdź z dzieckiem do twojej kajuty. Ja pójdę na pokład, aby zobaczyć, co się dzieje. Upieraj się tylko odważnie przy swoich prawach; aby nie wzbudzać podejrzeń, nie mogę się w to mieszać. Czy zechce mi pan towarzyszyć, panie doktorze? Nerwy zupełnie wypowiedziały mi posłuszeństwo, — załedwie mogę nad nimi panować.

Zgodził się chętnie i oboje udali się na górę. „Królowa Ludwika“ była już w porcie, a majtkowie kończyli ostatnie przygotowania do wylądowania. Doktor rozejrzał się za zapowiedzianą łodzią. Przybiła ona już do boku okrętu, a obaj policjanci rozmawiali z kapitanem.

— Ładna historia — usłyszał Robert głos swego przyjaciela, — jeśli prawda to, co panowie mówicie, proszę, wykonajcie swój obowiązek. Wobec mnie ta stara kobieta przedstawiła się jako pani Haynau, a dziecko miało być oddane jej na wychowanie. Zawołaj ją na górę, Jansen — rozkazał majtkowi.

Drząc na całym ciele, stanęła Marga Wolfen z dr. Burgerem obok rozmawiających. Udawała, że zajmuje ją ruch w przystani i odwróciła się do policjantów plecami. W rzeczywistości jednak natężyła słuch, a cała jej postać odbijała wyraźnie męki, przez jakie przechodziła.

Ręką przycisnęła silnie kołatające się gwałtownie serce.

Po chwili ukazała się pani Haynau, niosąc dziecko na ręce. Grała swą rolę doskonale, udała zdziwioną i zapytała, czego chcą od niej.

Jeden z policjantów, który trochę mówił po niemiecku, przystąpił do niej.

— Pani jest mis Röhn!

Kobieta podniosła jasne swe oczy z wyrazem ogromnego zdziwienia na urzędnika.

— Kto?

— Mis Alma Röhn — czytał urzędnik z jakiegoś aktu.

— Proszę pana, to musi być pomyłka. Ja nazywam się Haynau, a mój mąż jest sternikiem.

— Już dobrze, — przerwał jej urzędnik. — Czy pani może się wylegitymować? Proszę pokazać mi swoje papiery.

— Papiery? — Ba! ja nie mam żadnych. Na cóż mi potrzebne papiery? Te ma mój mąż, który jest sternikiem i mieszka...

— Czy jest tutaj ktoś, ktoby panią znał i mógł stwierdzić pani tożsamość?

Pani Haynau rozejrzała się bezradnie dookoła. Wszyscy prawie pasażerowie „Królowej Ludwiki“ zgromadzili się, przysłuchując się całej scenie.

— Kto mnie zna? Wszyscy ci panowie i panie dookoła wiedzą, jak się nazywam.

— Ja pragnę wiedzieć, czy ktoś z państwa znał panią już dawniej? Czy też dopiero poznano się z panią w czasie podróży?

Badana kobieta nie wiedziała już, co dalej mówić. Bała się powołać na świadków doktora i swoją panią; doktor nie byłby pewnie zgodził się na powiedzenie otwarcie kłamstwa, swą panią właśnie przez to mogła była zdradzić. Wybrała więc jedyną drogę, jaka jej pozostała, mianowicie zaczęła narzekać, że ją, uczciwą osobę, w ten sposób się napada i zapytała wreszcie z udanym gniewem, dlaczego bada się ją, jak zbrodniarkę.

— Pani wie, dlaczego. — oświadczył, śmiejąc się, policjant. — Do kogo należy to dziecko?